

# Lenczewski Piotr

## Czas Proroków

Z „Fahrenheit”

### 1.

*Na polu chwały pozostają także ci,  
którzy umarli ze strachu.*

**Henryk Jagodziński**

Wybiegł z budynku szybko. Jak pocisk zdążający do tarczy. A kula, wystrzelona z pistoletu, wie jedynie, że ma zabić – nie potrafi pojąć, czym jest prawdziwy cel. Jego wzrok, nieprzyzwyczajony do dziennego światła, przez kilka chwil rejestrował tylko mgłę. Martin usiłował się skoncentrować, lecz słuchawka telefonu przystawiona do ucha paliła go ogniem piątego kręgu piekła. To były chwile, w których określone miały zostać efekty wojny obronnej. Sam zdecydował, że ten właśnie wariant wybierze. Kiedy wkraczał do sztabu, obłożony szkicami sytuacyjnymi i planami, jak śledź gazetą – był pewny, że uda mu się obronić Miasto. Teraz jednak jego psychika zaczęła pękać, a pewność siebie przecierała się na zgięciach. Pierwszy raz brał udział w prawdziwej wojnie i okazało się, że mimo swego pochodzenia i pięknych macek, typowych dla arystokraty – nie jest dobrym dowódcą.

Resztką sił wykrzyczał do słuchawki rozkaz przegrupowania. W ciemności jego mózgu rysowała się dobrze zapamiętana mapa Miasta i okolic. Teraz widział, oczyma wyobraźni, jak resztki wojska, broniącego Miasta przemieszczają się, aby utworzyć klin. Francuski generał Masseno, dowódca oblegającej Miasto armii, przygotowywał się do frontального szturmu. Ataku, który jak zapewne miał nadzieję, rozniesie obrońców na strzępy. Rozpoczął rozciąganie linii frontu. Ale Martin Securo, przywódca obrońców, wtedy jeszcze czekał. Patrzył na panikujący sztab, słyszał wydawane przez Masseno rozkazy, widział ich efekty i czekał. Masseno, pewny zwycięstwa, ufny w moc swej armii, rozciągał linie dalej. Chciał wziąć Miasto szturmem. W jednym, potężnym akcie siły i zniszczenia. A Martin czekał cierpliwie. Mógł poznać wszystkie plany oblegającej Miasto armii, bo wywiad wojskowy Miasta wykonał doskonałą robotę. Wreszcie, gdy linie frontu przeciwnika były wystarczająco rozciągnięte, Martin wydał rozkaz przegrupowania i ataku.

Wiedział, że Francuzi będą zaskoczeni. Mógł być spokojny o efekt starcia. Nerwy i bitewne podniecenie zbiły go jednak z tropu. Jego strach ukrył się gdzieś w kregosłupie i czekał na dogodną chwilę, by zaatakować. Dlatego właśnie Martin opuścił sztab. Nie chciał ujawnić własnych obaw. Aby poznać wynik bitwy, musiał odczekać cały dzień. Był bowiem ranek – jeden z najpiękniejszych w historii, choć zimny. Zwolnił krok, zdawszy sobie sprawę z tego, że w bitewnym szale, skoncentrowany na wydawaniu rozkazów, nie zwracał uwagi na to, gdzie biegnie, i znalazł się nad rzeką. Wyłączył telefon komórkowy. Przed jego nosem przebiegła grupa podmiejskich chłopów z kosami postawionymi na sztorc. Ich marsz brzmiał jak uruchomiony na najwyższych obrotach mikser. Kosy, szable i inne metalowe przedmioty uderzały o siebie w przykrym, przypadkowym rytmie, przypominającym trochę młodzieżową muzykę. Te dźwięki były jednak także melodią walki. Najprzyjemniejszą z możliwych dla ucha dowódcy. Martin przyglądał się rolnikom przez dłuższą chwilę, póki nie znikli za mostem. Mógł być dumny z tak ofiarnej postawy obywateli. Zdawał sobie sprawę z tego, że późne przybycie chłopskiego pospolitego ruszenia może wspomóc jedynie morale regularnej armii. Bał się tylko, że żołnierze na widok pomocników umrą ze śmiechu.

Podszedł do staruszki sprzedającej bułki. Byłą z pewnością szalona. Wariactwo biło z jej postaci w równym stopniu, co nieprzyjemny zapach z wojujących rolników, którzy przemknęli przed chwilą przed Martinem.

Jej aparycja mogłaby budzić skojarzenia z obrazami Soutine'a. Staruszka z pewnością nie zdawała sobie sprawy z sytuacji panującej w Mieście. A może była po prostu niesamowicie obowiązkowa i chodziła do pracy nawet wtedy, gdy Miastu groził upadek? Martin podszedł do niej i kupił bułkę. Często kupował u niej bułki. Jej budka nad brzegiem rzeki była jedną z tych stałych rzeczy, które czasem pozwalają wierzyć, że wszechświat jest uporządkowany.

– Niech Połączyciel nas wyzwoli – odezwała się szalona handlarka. – Niech będzie zrównanie macek i błon. Niech nibynóżka będzie silna, a macka opiekuńcza.

Martin powędrował wzdłuż rzeki, karmiąc pieczywem pływające po rzece kaczki. Był zmęczony całonocną pracą w sztabie kryzysowym, lecz siły wróciły mu nadspodziewanie szybko. Za każdym razem, gdy rzucał kęs bułki, poprawiał mu się nastrój, podnosiła samoocena. To naturalne. Czasem dobrze jest nakarmić kaczki. Pomyślał z sympatią o miejscu, z którego przed chwilą uciekł. Przywódcy Francuzów mieli sztab ulokowany w zimnej i nieprzyjemnej przyczepie TIR'a. Z pewnością nie było im łatwo. To także wiedział, dzięki świetnym agentom wywiadu, którzy, jak mówiła plotka krążąca wśród wojskowych, potrafiliby wydobyć potrzebne informacje nawet od polityka. Pomimo tego, że jak wiadomo, politycy nic w gruncie rzeczy nie wiedzą. Martin, choć sam zajmował się polityką, nie obrażał się, kiedy słyszał ten dowcip. Było to najlepszym dowodem na to, że sztukę trzymania władzy opanował w bardzo wysokim stopniu. Kontynuował spacer ulicami Miasta, oczekując z niepokojem na efekty podjętych przez siebie decyzji.

## 2.

*Czy nie masz czasem sobowtóra,  
a może istnieje przestępca,  
który rzeczywiście przywłaszczył  
sobie Twoje nazwisko?  
Jest to jakiś sunący cień Ahaswera,  
który nigdzie nie może  
znaleźć sobie przytułku.  
**Anatol Winogradow "Potępienie Paganiniego"***

Lukas So był młodym mieszkańcem Miasta, który kilka lat temu miał przed sobą karierę, sukcesy, a może i piękną żonę posuwaną co rano w rytm aktualnego przeboju. Załamał się jednak i został Kaczym Prorokiem. Jego załamanie nie było chyba związane z sytuacją, w której się wówczas znajdował. Można za to powiedzieć, że z pewnością znaczącą rolę odegrały w tej kwestii alkohol, półoszalała studentka filozofii i rodzinna tradycja, która nakazywała przynajmniej jednemu męskiemu potomkowi w każdym pokoleniu zwariować.

Lukas oszalał pewnej letniej nocy, gdy siedział pijany nad brzegiem rzeki i tulił do siebie głupawą studentkę. Rozmawiali o życiu, choć studentka poglądy miał prostsze niż kształt kija bokken, straszliwi przechodniów i generalnie tracili czas. Nagle jednak, w Lukaszem coś pękło. Spojrzał na rzekę, toczącą swe strute odchodami wody przez Miasto, rzucił okiem na przesuwające się po umierającym wieczornie niebie chmury i zaczął wszystko postrzegać inaczej. Jego wzrok zaczął pulsować i, gdybyś spojrział w jego oczy, ujrzałbyś historię świata opisywaną serią wszystkich szaleńczych objawień, jakie zaistniały od początku historii. Postanowił zostać Kaczym Prorokiem. Co dnia siadywał na brzegu i przemawiał do kaczek. Jeśli było zimno, przenosił się na taras pod mostem. Choć tam zwykle miał mniej słuchaczy. Stalowa krata nie odpowiadała ptakom. Z pewnością były gorzej przystosowane do korzystania z dobrodziejstw cywilizacji. Słuchały go jednak i mogło to dowodzić, że posłannictwo, które sobie wybrał, nie było absolutnym szaleństwem. W zeszłym roku bawił się nawet w Obrońcę Uciśnionych. Wysłał swe kaczki z rozkazem wspomżenia przykutych do ściany ekologów, którzy bronili porostów pokrywających rozpadającą się kamienicę przeznaczoną do rozbiórki. Misja kaczek nie powiodła się w stu procentach, bo dało o sobie znać owo nieprzystosowanie do tempa zmian następujących lawinowo we współczesnym świecie – nim dziobate zwierzątka dotarły do odległej części miasta, ekolodzy dostali dotację z urzędu i przestali protestować a nawet sami odkuli się od ściany. Odkuły się też ich rodziny. Lukas był zawiedziony ich postępowaniem, rozczarowany ludzkością, i postanowił, że jego kaczki nigdy już nie zostaną wplątane w sprawy polityczne.

Teraz było mu zimno. Nie wiedział, czego się spodziewać. Dzień mógł minąć szybko lub niszczyć istnienie każdą sekundą, przemrożoną do szpiku metaforycznej kości. Kazał kaczkom przynieść sobie coś do jedzenia i wyciągnął z kieszeni gazetę, którą wyłudził rankiem od stojącego na ulicy obywatela. Właściciel wystraszył się szalonych oczu Lukasa i bez szemrania oddał mu gazetę. Na pierwszej stronie znajdowała się informacja o tym, że Miasto dalej się broni i że Francuzi nigdy nie poradzą sobie z naszymi ogniskami karabinów maszynowych. Od kiedy Lukas został Kaczym Prorokiem, miał sporo czasu, i spacerując po mieście ustalił, że w razie ataku karabiny maszynowe nie przydadzą się do niczego. Były przerdzewiałe. Ich uruchomienie musiałyby zająć przynajmniej pół roku. Jego oczy wyrażały jednak akceptację dla prowadzonej w ten sposób propagandy. Dziennikarze z pewnością nie wychodzili z budynku redakcji, nie mogli więc wiedzieć niczego o stanie mechanizmów obronnych Miasta. Pisali w ciemno, a ich ciemna pisanina mogła podtrzymać na duchu część mieszkańców. Lukas zdawał sobie sprawę ze znaczenia morale obrońców podczas walki.

### 3.

*I rode a tank  
Held a general's rank  
When the blitzkrieg raged  
And the bodies stank  
Pleased to meet you  
Hope you guess my name  
**The Rolling Stones "Sympathy for the devil"***

Martin spoglądał z wałów obronnych Miasta na trwającą poniżej bitwę. Nie brano jeńców. Nie było na to czasu. Na tym etapie bitwy wszystkie konwencje obrony praw istot żywych musiały pójść w niepamięć.

Podrapał się centralną macką po nosie, a kiedy stracił nad nią kontrolę (to się zdarzało w sytuacjach stresowych), chwycił ją obiema rękami i przytulił do klatki piersiowej i uda. W końcu jego organizm uspokoił się i ukrył dodatkowe odnóża. Siły wojowników Miasta i żołnierzy francuskich zdawały się być wyrównane. W końcu zmęczył go ten widok. Odpowiedzialność jest ciężka do udźwignięcia. Zwłaszcza, kiedy nie można, dla własnego bezpieczeństwa, samemu ruszyć do walki. Na polu walki wszyscy już uruchomili swoje ukryte cechy. Prym wiódł wojownik z nibynóżką, która na raz obsługiwała dwie szable, cztery pistolety i karabin maszynowy 23mm. Niektórzy żołnierze tracili kontrolę nad swoimi dodatkowymi cechami, tak jak Martin przed chwilą, i na przemian ogarniał ich berserkerski szał lub padali na plecy i trzęśli się w stanie przypominającym katatonię bądź wyjątkowo silne upojenie alkoholowe. Martin spoglądał na całość z coraz większym obrzydzeniem. Bał się znów utracić władze nad mackami, postanowił więc wrócić nad rzekę. Poszukiwał ciepła, spokoju i może jeszcze kobiety, którą mógłby potrzymać za rękę podczas spaceru. Musiałaby jednak być wyjątkowa. Nie miał gdzie zanoć i pragnął, aby ktoś zabrał go do domu.

Lubił jednak takie samotne spacerować. Po powrocie nad rzekę, upewniwszy się, że nikt go nie widzi uwolnił swą mackę. Teraz powiewała jak szalona. Uderzyła go nawet w pierwszym ataku radości. Często zastanawiał się, jak to jest mieć nibynóżkę. Czy są one równie trudne do opanowania? To było poważne pytanie. Psychologowie twierdzili z uporem, że nie da się jednoznacznie porównać tych dwóch odczuć. Ci religijni dodawali jeszcze, że dowiemy się tego wtedy, gdy narodzi się Połączyciel. Coraz mniej ludzi wierzyło jednak w nadejście Połączenia i opinie tradycjonalistów napotykały w odpowiedzi jedynie bladawe uśmiešky.

### 4.

*Alcybiades – pederasta, był bowiem filozofem;  
rzecz jasna filozof, skoro był pederastą ich  
**Pierre Daninos***

Wzrok Lukasa gubił się między chmurami, które w niczym nie przypominały tych, jakie towarzyszyły jego objawieniu. Jedynym podobieństwem było to, że również sunęły po niebie. Były jednak przepełnione słońcem i energią. Co chwila zmieniały kształty. Wirowały jak w grze komputerowej z kiepskim modelem fizycznym.

Kaczki przyniosły bułki swemu Prorokowi. Znaczyło to, że mimo trwającej walki obronnej, układ między staruszką a Lukaszem pozostawał aktualny. Od dwóch lat kaczki Lukasa pilnowały, aby monopol handlowy staruszki pozostawał nienaruszony. W zamian Lukas miał co jeść. I choć dieta składająca się tylko z bułek porażała monotonią, Lukas nie narzekał, bo miał w pamięci lata chude, kiedy musiał obywać się pożywieniem przynoszonym przez kaczki ze śmietnika. Nauczenie kaczek, że Lukas nie jada tego, co one, trwało długo. Przez pierwsze miesiące kaczki z uporem przynosiły Lukaszowi upolowane biedronki, które uznawały za szczególnie przysmak. I choć ich przywódca bronił się przed tymi smakołykami, ptakom wciąż zdarzało się nieopatrnie przynieść biedronkę i wepchnąć mu ją w usta. Szczególnie, kiedy spał. Lukas zastanawiał się nawet, czy nie jest to objaw jakiegoś niejasnego kaczego poczucia humoru.

Teraz jednak, zadowolony, zjadał bułki i wpatrywał się w niebo, układając w myślach treść dzisiejszego kazania. Zmienne kształty chmur sugerowały mu, że może powinien skoncentrować się na przemianach postępujących w otaczającej ptaki rzeczywistości. Na nowo budowanej autostradzie i o tym, że kiedy nadejdą mrozy, należy sypiać na brzegu, aby nie obudzić się z nogami skutymi lodem. Wtedy właśnie zobaczył postać – jakby nie było – z pierwszych stron gazet: Martina Seccuro, który spacerował wzdłuż brzegu. Lukaszem wstrząsnęło oburzenie. Dlaczego ta istota spaceruje sobie brzegiem, zamiast dowodzić, zgodnie ze swym dziedzictwem, obronnością Miasta? Nibynóżka Lukasa zafalowała tuż pod skórą. Był zdenerwowany, bo wierzył głęboko w posłannictwo Arystokratów, a postulaty rewolucji Wielkiego P., która włożyła władze w ręce takich jak Seccuro, nakazywały mu wiernie stać na straży Miasta. A w każdym razie nie sugerowały, aby z obronnością Miasta wiązały się spacerunki brzegiem rzeki podczas oblężenia. Lukaszowi wpojono, że mackowaci są sprawniejsi, szybciej podejmują decyzje i w ogóle są prawidłową ścieżką ewolucji, a nibynóżkowcy znajdują się na ich łasce tudzież niełasce. Na mackowatych spadł jednak obowiązek rządzenia wszystkim. Wbrew szumnie głoszonym hasłom o równouprawnieniu, przy obsadzaniu stanowisk stosowano równość wyniku, a obietnice braterstwa między dwiema ścieżkami ewolucji pozostawały tylko na papierze. Zaraz po wstrząsie mentalnym, uderzył Lukasa wstrząs fizyczny, kiedy skłócone płyty tektoniczne naparły na siebie niemrawo. W innym świecie siłę tego wstrząsu określono by przez zakreślenie na skali Richtera cyfry "2". Nibynóżka Lukasa instynktownie wychyłała spod jego skóry, okryła go całkowicie i stwardniała na kamień. Przez pewien czas nic nie widział. Nawet nie myślał. Był pogrążony w letargu. Po chwili wstrząsy minęły, a nibynóżka chroniąca go przed nimi zmiękła i zaczęła wracać pod skórę. Kiedy wreszcie mógł patrzeć, zobaczył Martina Seccuro, stojącego na brzegu i patrzącego na kobietę. Choć oboje wyglądali na wystraszonego wstrząsem (a Seccuro miał czego się bać – był przecież posiadaczem macek, które go nie chroniły), wpatrywali się w siebie z fascynacją i stali spokojnie. Zniesmaczony amatorami Martina, Lukas odwrócił się i zaczął przemawiać do kaczek, które uporządkowały już swój szereg, po chwilowej, wywołanej wstrząsem panice.

## 5.

*To świetna limuzyna.*

*Niech ją pan uszczypnie.*

**Eugene Ionesco**

Martin widział jej twarz, powieki zaciśnięte w mikroskopijne szparki, tak, że nie dało się rozpoznać koloru oczu, oraz pokryte grubą patyną tuszu rzęsy. Kredka musiała być tłusta i droga. Dziewczyna szła dziwnie, jakby środek ciężkości jej ciała znajdował się w miejscu z punktu widzenia biologii niemożliwym. Wzrok Martina nie dostrzegał charakterystycznej dla mackowatych skłonności do biegu, ani zimnego chłodu i pełnego flegmy kroku posiadaczy nibynóżek. Może był to efekt niedawnego wstrząsu, zwykle poszukiwanie równowagi po chwilowym utraceniu gruntu pod nogami. Ta kobieta musiała jednak w jakiś sposób być inna. Gdy szła, jej wąskie, delikatne, niemal gotyckie w formie dłonie kroily nadržeczną bryzę na drobne kawałki. Można by pomyśleć, że oto stoi przed tobą istota, która jako pierwsza w historii wszechświata postanowiła wybudować igloo z powietrza. Cała panika wyciekła z Martina, jakby był

dziurawym garnkiem. Nieświadomie ruszył ku niej i wyciągnął mackę na powitanie. Schwyciła ją pewnie, z uśmiechem na twarzy.

– Wiem, czego pragniesz. – Słowa, które wypłynęły z jej ust, choć z pozoru ordynarne, były pełne niezwyklej siły. Ta kobieta nie mogła być prostytutką. Martin nie uwierzyłby w to, nawet gdyby pokazano mu zdjęcia lub film video.

– Gdzie pójdziemy? – Ta wypowiedź wydała się Martinowi oczywista. To była kwestia interesu, nie moralności. Był zresztą pewien, że Miasto zaraz upadnie. Nie miał czasu na rozważania, czy lepiej trwać do końca na dziobie tonącego okrętu, czy zaliczyć dziwkę. Pytanie, które samo się w takiej sytuacji nasuwało, brzmiało: "Ile ona bierze za godzinę?", a nie: "Czy przypadkiem nie urażę jej godności?".

Ruszyli przed siebie. Dziewczyna nie mówiła o pieniądzach. Obydwoje trwali w nadziei na szybką śmierć lub jeszcze szybsze zwycięstwo.

Szli spokojnie, ścieżką, wyglądając jakiejś kłęski na każdym kroku. Kiedy stanęli na moście, Martin wyrzucił do wody telefon komórkowy. Przez chwilę obserwował lot aparatu, a gdy komórka znikła w otchłaniach rzeki, mocniej ścisnął rękę dziewczyny i energicznie ruszył do przodu. Ale tak naprawdę to ona prowadziła. Seccuro mógłby pójść za nią nawet na koniec świata. Ona zdecydowała jednak, że pójdą do jej mieszkania. Było to z pewnością rozwiązanie rozsądniejsze.

– Jak się nazywasz?

– Lulla Marziano, ale czy to naprawdę istotne?

Martin nie wiedział, czy było to istotne. Zapytał o jej imię, bo sądził, że to naturalne. Nie widział niczego dziwnego w tak przejawiającym się zapotrzebowaniu na wiedzę. Szli dalej. Odpowiedź Lulli wiele jednak znaczyła dla Martina. Utwierdzała go w przekonaniu, że nadchodzi koniec. Może była to tylko skłonność do defetyzmu, kryjący się głęboko pod codzienną maską pesymizm, ale Martin nie potrafił mu się przeciwstawić. A każdy podmuch wiatru, niosący zapach prochu i krwi, utwierdzał go w tym przekonaniu bardziej i bardziej.

Wyciągali nogi, i choć żadne z nich nie czuło zmęczenia, fakt, że w wieżowcu, w którym mieszkała Lulla nie działała winda, nie był przyjemny. Martin wolałby, aby podróż na siedemnaste piętro minęła im na przytulankach w kabinie, nie na dodatkowym ćwiczeniu. Szarpnęła nim nienawiść do Karela Mezzano, Arystokraty odpowiedzialnego za politykę mieszkaniową w Mieście. Pomyślał, że gdyby Miasto jakimś cudem ocalało, pierwszym jego krokiem byłoby postawienie całego resortu Karela w stan oskarżenia.

Lulla oddychała szybko, w równym marszu, mimo przyzwyczajenia do takich wspinaczek musiała także być niezadowolona z oddalonego momentu intymności. Obydwoje pragnęli zbliżenia. Martin marzył o delikatnym ciele Lulli. Coraz bliżej i bliżej. Aż do śmierci. Kiedy stanęli przed drzwiami mieszkania dziewczyny, byli mocno zziębnięci, ale szczęśliwi, o ile w obecnej sytuacji jakakolwiek istota mieszkająca w Mieście mogłaby mówić o osobistym szczęściu. Lulla otwierała drzwi kluczem, kiedy obok nich przemknęła winda. Martin zaczął się histerycznie śmiać, Lulla zaś zamknęła ponownie drzwi i wcisnęła guzik przywołujący kabinę. Kiedy ta przybyła, wsiedli do środka i wyjechali na najwyższe piętro.

Strych, pełen bibelotów znoszonych przez lokatorów niemal od początku istnienia budynku, prawie oddychał kurzem. Martin poczuł się nienajlepiej. Nigdy nie lubił zapyłonego powietrza. Już miał zapytać Lulli, dlaczego zaprowadziła go na strych, kiedy ujrzał małe drzwi, wykonane z drewna. Wyglądały jakby nikt od wieków ich nie otwierał. Uchyliły się jednak gładko, kiedy Lulla pchnęła pokryte kurzem drewno. Za drzwiami widać było niebo. Coraz ciemniejsze – w tym szalonym klimacie zmrok zapadał szybko. Ziemią targnął kolejny wstrząs i drzwiczki na strychu chwiejącej się wieży otwały się zupełnie. Lulla pochyliła się i wyszła na dach. Martin podążył za nią. Betonowa podłoga była chłodna i Martin czuł to nawet przez buty. Kątem oka dojrzał, jak Lulla zbliża się do barierki okalającej dach i wychyla się. Wpuściła przy tym dwie macki, aby utrzymać równowagę. Martin uświadomił sobie nagle, że wcześniej nie zastanawiał się, czy Lulla ma macki, czy nibynóżkę. Szarpnęło to nim. Pomyślał, że musi się bardziej kontrolować. Jeszcze kilka chwil i, kochając się z nią, popełniłby mezalians. O ile oczywiście miałyby nibynóżkę. Martin zaczął się uspokajać. Wreszcie wytłumaczył sobie, że jego arystokratyczne pochodzenie i natura władcy nie pozwoliłaby jego myślom na afekt niezgodny z zasadami. Wszystko wróciło do normy. Przynajmniej we wnętrzu Martina. A wnętrze jest najważniejsze. Żaden świat nie może funkcjonować bez wewnętrznej zgodności.

A taras, na który wyszli, był szeroki. Jak łąka. Szarość betonu zmieniała się w czerń, bo słońce zachodziło, jakby zawstydzone ich nagłym pojawieniem się. Martin przysiadł na samym skraju barierki. Między twardym betonem a bezkresem nieba. Między dwoma odległymi światami. Zamknął oczy. Starał się czuć przestrzeń. Właśnie – nie widzieć, lecz czuć. W sobie i wokół siebie. Na jego ramieniu przysiadł kruk. Czarne szpony wbiły się w ramię Martina. *Odejdź* – pomyślał Martin i kruk wzbił się w powietrze. *Śłucha mnie* – kolejna samotna myśl gładko przeniknęła przez płat czołowy Arystokraty. *Wróć* – kruk wrócił, ale nie sam. Kiedy Martin otworzył oczy ujrzał kilkadziesiąt czarnoskrzydłych ptaków wokół siebie. Lulla stała z boku, ze spokojnym uśmiechem na twarzy, który sprawiał wrażenie przyklejonego. – Jesteś prorokiem. Kruczym Prorokiem. Stare proroctwa zapowiadały twoje przyjście. Martin nie wiedział jak odpowiedzieć. Pomyślał, że powinien uciec. Jak najdalej od świata, który potrafi zaskoczyć każdego. Wydawało mu się, że potrafi podejmować sprawne i dobre decyzje, ale rozwój wydarzeń na polu bitwy zaprzeczył temu. Wydawało mu się, że nie ma nadziei na ocalenie, ale okazało się, że jest postacią z rojeń Połączeniowców. Wspomóżcie naszych wojowników. *Niech Francuzi szczeną w ogniu prawdy* – wydał rozkaz. Nawet jego myśli układały się w rytm starych przepowiedni. Kruki zaczęły kołować nad dachem. Do grupy przyłączały się coraz to nowe ptaki. Szum czarnych skrzydeł zagłuszał myśli. Potem kruki odfrunęły poza mury. Na miejsce trwającej bitwy. Martin chwycił Lullę w ramiona. Przebyli taras i dotarli do drzwi jej mieszkania. Niemał je wyważyli z rozpędu. Wpadli do środka i rzucili się na łóżko. Martin czuł ciepło Lulli, rozchodzące się po jego ciele. Zdarł z niej ubranie i zaczęli się kochać. Tak, jakby nie miało być jutra lub jakby jutro było bardzo odległe i zupełnie różne od wszystkiego, co znali.

## 6.

*Będzie z tego kura jak krowa.  
Tak mi podyktował rozum.*

### **Kokosz**

Lukas spoglądał na zaszłe wieczornymi chmurami niebo. Nad odległym wieżowcem formowała się wielka czarna powłoka złożona z ptaków. Lukas uśmiechnął się. Wiedział, że oto nadchodzi czas ostatecznego spotkania. Skoncentrował się i zaczął przywoływać myślami kaczkę. One przybywały. Było ich coraz więcej. Niemał zablokowały swą masą bieg rzeki. Najgęstsze i najpiękniejsze klucze, jakie Lukas widział w życiu, przylatywały z odległych krain. Rozmawiały ze sobą w podnieceniu a ich pytania stawały się niemal zrozumiałe dla Kaczego Proroka. *Czy zwyciężymy?* – Lukas nie wiedział, czy usłyszał to pytanie z tłumy wodnych ptaków, czy też sam je sobie zadawał. Myślał o metodach walki. O taktykach i o tym, że zapewne nie ma dość umiejętności, aby dobrze pokierować swoim wojskiem. Aby uspokoić się choć odrobinę, a podniecenie sprawiało, że przestawał rozsądnie myśleć, skierował swój umysł ku temu, że lata przygotowań nie poszły na marne. A Objawienie nie było szaleństwem, lecz prawdą, niezrozumiałą dla postronnych. Wszystkie pogardliwe spojrzenia, jakie musiał znosić przez lata, poszły w niepamięć. Wątpliwości okazały się nie mieć usprawiedliwienia. *Trzysta sztuk na prawo* – kaczkę były posłuszne. *Lewe skrzydło, okrzyk bojowy* – wrzask tysięcy ptasich gardel zagłuszał nawet odgłosy bitwy trwającej za murami. Szczęście i radość. Lukas pragnął tego ostatecznego rozwiązania, jak tylko mógł. Teraz okaże się, co jest wart. Nie w prymitywnym i oszukańczym wyścigu szczurów. Nie w życiowej pseudowalce, której zasady zostały całkowicie zniszczone przez socjalizm. Tylko w spotkaniu z przedstawicielem odmiennej siły, który będzie miał inne możliwości, nie poparte jednak układem społecznym, tylko czymś, co otrzymał w darze. Podobnie jak Lukas władzę nad kaczkami. Noc miała być długa i pełna oczekiwań. Lukas nie potrafił usnąć, choć wiedział, że jutro potrzebować będzie wszystkich sił.

## 7.

*Ogromnie żałuję, że to nie ma  
być opowiadanie pornograficzne,  
ponieważ jestem przekonany, że czytelnik  
nie znudził by się opisem tego, co zrobił Jean.  
Alphonse Allais*

Było naprawdę ciepło. Wbił się w Lullę, a ona objęła go nogami i głośno oddychała, tuż nad jego uchem. Była blisko a wciąż próbowała być bliżej. Tuliła go ze wszystkich sił. Macka Martina wychynęła na zewnątrz i objęła ją, niemal odbierając oddech. Czekał na wzajemność i nie musiał czekać długo. Poczul na sobie mackę partnerki, która zaczęła delikatnie go oplatać. Był w niebie. Coraz bliżej i bliżej, choć wydawało się, że są już tak blisko siebie, że nie da się bardziej. Ręka przy ręce, noga przy nodze, macka przy macce. I wtedy stało się coś niewiarygodnego. Martin poczuł nieprawdopodobne ciepło, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie zaznał. Wychynęło z Lulli i objęło go całego. Minęło parę sekund nim zrozumiał, co się dzieje. Ciepło na plecach, karku i pośladkach... Wilgoć, bardziej wyczuwana niż rzeczywista.... Trwał w objęciach nibynóżki! Przerazenie objęło go jak macki i nibynóżka Lulli i zablokowało czynności życiowe na kilka długich jak sylwestrowa noc chwil. Serce przestało bić, impulsy nie wędrowały po odrętwiałym od strachu płacie czołowym. Potem zaczął się szarpać. Wyszedł z Lulli i kiedy nibynóżka i macki kobiety, z którą przed chwilą się kochał, rozluźniły się, w trzech skokach oddalił się od niej i przytulił plecami do ściany. Nie potrafił oderwać wzroku od... Połączyciela. Połączycielki!

Intelekt zawsze broni się przed objawieniami. Umysł boi się cudów, jak władza demaskacji. Rozumowanie jest dla człowieka tym, czym dym w teatrze. Zakrywa część rzeczy, aby nie wszystko było oczywiste. Lulla uniosła się. Spojrzała na Martina oczyma, które z nagłą przyjęły kolor jadowicie zielony. Była to barwa na granicy percepcji. Na jej twarz powrócił kpiący uśmiech. Był jak żelazo przyłożone do czoła – chłodny i drażniący. Martin bez nadziei trzymał się resztek świadomości. Lulla była potężniejsza. Jej ciało miało więcej możliwości, jej umysł był sprawniejszy. Przewyższała Martina wszystkim, może z wyjątkiem masy ciała. Martin pograżył się w nocy nieświadomości. Nie widział niczego, nie słyszał...

## 8.

*Wszyscy chcą rozumieć malarstwo,  
dlaczego nie próbują rozumieć śpiewu ptaków?*  
**Pablo Picasso**

Kaczki ułożyły się w równy szereg. Odgłosy, które z siebie wydawały, były przytłumione. Nocą lub podnieceniem. Lukas patrzył na swe oddziały z dumą. Ciemność ogarniająca Miasto dawała mu spokój. Świadomość nieuchronnej konfrontacji nie była już w stanie go poruszyć. Słyszał, jak odgłosy bitwy zamierają. Pojedyncze krzyki, które jeszcze niedawno zlewały się w jedną masę, teraz były rzadkie. Nie znał wyniku bitwy. Wiedział, że prawdziwa bitwa dopiero nastąpi. I czuł, że wiele będzie zależeć od jej wyniku. Wierzył głęboko w swoje zwycięstwo. Nauczył się w nie wierzyć. Gdyby nie ufał sobie, jego udział w bitwie byłby nonsensowny. Miasto szumiało. Bitwa po bitwie. Bitwa po bitwie. Historia była dla Lukasa jedną wielką walką. Pełną kotłujących się zwycięzców i przegranych. Do woli wymieniających się rolami. Kiedyś jakiś natchniony poeta spíše wszystkie wydarzenia Miasta. I nikt nie będzie w stanie. Każdy pominie pierwsze dziewięćdziesiąt dziewięć tomów, tylko po to, aby przeczytać opis ostatecznej bitwy, która rozegra się między Prorokiem Kaczek, reprezentującym nibynóżkowców, a Prorokiem Kruków, który wystąpi w imieniu mackowatej Aristokracji. Dotychczasowy porządek świata zostanie już niedługo wystawiony na trudną próbę. Lukas, jako reprezentant nowej siły, wierzył, że nieunikniona rewolucja zakończy się sukcesem.

## 9.

*Raczej koniec z trwogą niż trwoga bez końca!*  
**Ferdinand von Schill**

Dzień zbudził się szybko. Z ciszą, której Miasto nie zaznało od dawna. Martina nie obudziły jednak pierwsze promienie słońca, chyba, że słońce bije po twarzy pięścią uzbrojoną w ciężkie pierścienie. Szef obrońców Miasta otworzył oczy. Jego wzrok skoncentrował się na przydługim nosie, tkwiącym pośrodku dobrze znanej twarzy. Była to twarz Collarama, adiutanta Martina Securo.  
– Czego? – Głos Martina był ochrypnięty.

– Wstawaj, Panie. Jesteśmy zwycięzcami. Dzięki twoim ptakom nadeszło wybawienie. Francuzi uciekają!  
– Jak to?

– Wystraszyli się, a ptaki po każdym ataku formowały na niebie litery twego imienia. To dodało naszym żołnierzom ochoty do walki.

Martin podniósł się z półleżącej pozycji i rozejrzał po pokoju. Nigdzie nie widział Lulli.

– Zapewne czary, które odprawiłeś dla obrony Miasta zmęczyły cię, panie. Musisz jednak wyjść do ludzi. Parada na cześć przywódcy już gotowa.

W umysł Martina wparowała niekontrolowana myśl – *Może Lulla była snem?* Zaraz jednak powrócił do pozbawionej od wielu wieków złudzeń rzeczywistości. Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Tłum ludzi, zgromadzony wzdłuż głównej arterii Miasta, wyraźnie oczekiwał na pojawienie się Obrońcy i Kruczego Proroka w jednej osobie. Martin westchnął ciężko, trawiony obawami o to, co nastąpi dalej.

Collaram chwycił go pod ramię i wyprowadził z mieszkania. Chciał schodzić na nogach, ale Martin pamiętał o tym, że wczoraj winda działała. Wcisnął więc przycisk i po chwili oczekiwania kabina nadjechała. Zjechali na dół.

Parada z pewnością nie była paradą najlepiej przygotowaną ani najbardziej uroczystą z tych, które Miasto do tej pory oglądało. Była jednak zdecydowanie najliczniejsza w historii. Wyszli i mackowaci, i nibynóżkowcy. Okrzyki radości na jego widok umilkły, kiedy na niebie pojawił się gigantyczny klucz kołujących kruków. Ludzie unieśli Martina na złocym krześle, które przed chwilą ktoś zabrał z muzeum. Rozpoczął się pochód. Śpiewano pieśni i radowano się. Ludzie byli uśmiechnięci, szczęśliwi, ufni w siłę Miasta, które, czego byli pewni, pod światłym przywództwem Kruczego Proroka, zdoła znacznie poszerzyć swoje terytorium i nigdy już nie będzie zagrożone. Gdziekolwiek pojawiały się flagi narodowe. Ci, którzy nie mieli pod ręką odpowiednich barw, zdejmowali koszule i machali nimi, aby nikt ich nie oskarżył o brak patriotyzmu. Zresztą była to szczerza radość i prawdziwa duma.

Kiedy parada dotarła do rzeki, skłócone od wielu lat płyty tektoniczne przypomniały sobie o wszystkich do tej pory skrywanych animozjach i natarły na siebie z niespotykaną siłą. Wstrząs, jakiego żaden kronikarz nie miał szansy do tej chwili utrwalić, targnął Miastem od fundamentów aż po szczyty wieżowców. Panika, równie szczerza jak niedawna radość, ogarnęła uczestników parady. Martin spadł, kiedy ręce przytrzymujące jego fotel znikły. Kiedy wylądował na ziemi, zorientował się, że w paradzie musiało brać udział wielu nibynóżkowców. Wokół niego leżało bowiem morze kokonów ochronnych, którymi otaczają swych właścicieli nibynóżki. Wody rzeki, wstrząśnięte, zaczęły się wybrzuszać i w samym środku nurtu, wyłoniły się dwie wysepki, oddalone od siebie o kilkanaście metrów. W tle padały wieżowce i umierały kamienice.

## 10.

*Nadzieja jest dobrym śniadaniem, lecz kiepską wieczerzą.*

**Francis Bacon**

Kiedy Lukas wyjrzał ze swojego kokonu, ujrzał jatkę, przy której niedawna bitwa musiała przypominać wyjątkowo nudny dzień w bankrutującej rzeźni. Mackowaci poginęli masowo. Krew, wsiąkająca w podłoże i mieszająca się z nurtem rzeki, tworzyła wzory, zmieniające się co ułamek sekundy, niepewne jak przyszłość. Wkoło pełno było organów zamiennych. Ziemia nie była łaskawa. Zabiła swoje dzieci, które od współpracy wolały zająć się pomnażaniem wpływów i majątków. Ukarła tych, którzy stanowili własne prawa, nie zwracając uwagi na to, co rozsądne i dane w prezencie. Nie zadawała pytań. Winny zapewne był cały gatunek. Cała linia mackowatych. Przeżyła pewna ich ilość, lecz teraz, wobec takiego pogromu, staną się oni zapewne służącymi. Będą przyjmować a nie wydawać rozkazy.

Kaczy Prorok zobaczył nareszcie swego przeciwnika. Lukas był na tyle spokojny, że świadomość, że jest nim Martin Seccuro, specjalnie go nie wzruszyła. Teraz usytuowanie społeczne nie miało znaczenia. Miała nadejść konfrontacja. Kruki na oczach Lukasa zniżyły lot, wczepiły się w ramiona Martina, uniosły go i postawiły na wysepce. Jednej z tych, które powstały po trzęsieniu. Nim Lukas zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, ujrzał, że kaczkę, wylądowawszy na wodzie, utworzyły tratwę, ułożone jedna nad drugą. Wszedł na grzbiety ptaków, którym tak wiele poświęcił, i od razu poczuł się pewniej. Tratwa podpłynęła do drugiej wysepki. Lukas wdrapał się na nią trochę niezdarnie i spojrzął na Martina, który nerwowymi ruchami



wydawał polecenia krukom. Te utworzyły dwa równej wielkości klucze, które poszybowały w stronę Lukasa. Donośne krakanie – pierwszy odgłos rozpoczętej bitwy – odbiło się echem wśród ruin spacyfikowanego Miasta. Kaczki osłoniły Lukasa, tak jak to miały przetrenowane. Ćwiczyły w końcu przez całą noc. Cztery kruki spadły do zimnej wody i nie potrafiły się z niej wydostać. Rzucały się w panice na wszystkie strony, wyśmiewane przez kaczki, które czuły się zwycięzcami pierwszej potyczki. Do donośnego kwakania dołączyło się przekleństwo wykrzywane przez Martina. Zaraz za przekleństwem zakrakały kruki. Bitwa była trudna. Kruki miały wielką przewagę w powietrzu, kaczki zaś panowały na wodzie.

Ale prawdziwe piekło rozpętało się, gdy Lulla Marziano wypuściła swoje bobry.